

MEDIA W POLSCE: ZAGROŻONA WOLNOŚĆ

Słowo bywa bardziej śmiertelne od karabinu, a skoro tak, to łatwo dojść do wniosku, że z wolnością słowa nie można przesadzać. W wielu krajach wnioski o wprowadzenie cenzury przewencyjnej. Polskie media wyzwoliły się z niej ćwierć wieku temu, po upadku komunizmu. Nie oznacza to jednak wcale, że w prasie, radiu i telewizji automatycznie rozkwitła wolność słowa. Przez wiele lat ograniczały ją – a w wielu miejscach nadal ograniczają – bariery strukturalne, finansowe i mentalne. W XXI w. pojawiły się nowe przeszkody i zagrożenia.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na papierze gwarantowała wszystkim swobody obywatelskie. Jej art. 71 mówił, że państwo *zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji, zaś urzeczywistnieniu tej wolności służy oddanie do użytku ludu pracującego i jego organizacji drukarni, zasobów papieru, gmachów publicznych i sal, środków łączności, radia oraz innych niezbędnych środków materialnych*. W praktyce owe konstytucyjne gwarancje pozostawały martwe, a ograniczały je zapisy ustawy o Głównym Urzędzie Kontroli Publikacji i Widowisk przewidujące: *nadzór nad prasą, publikacjami i widowiskami w zakresie, przewidzianym w szczególnym przepisach prawnych oraz kontrolę rozpowszechniania wszelkiego rodzaju utworów za pomocą druku, obrazu i żywego słowa*. Zgodnie z ustawą (w kuriozalny sposób ograniczającą wolności konstytucyjne) kontrola ta miała na celu *zapobieżenie: godzeniu w ustrój Państwa Polskiego, ujawnianiu tajemnic państwowych, naruszaniu międzynarodowych stosunków Państwa Polskiego, naruszaniu prawa lub dobrych obyczajów oraz wprowadzaniu w błąd opinii publicznej poprzez podawanie wiadomości niezgodnych z rzeczywistością*.

Na podstawie tych przepisów peerelowska cenzura – czyli w praktyce skupiona w jednym ośrodku (kierownictwie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) władza ustawodawcza i wykonawcza, a w znacznym stopniu także sędziowska (do upadku PRL sądy, zamiast – jak to jest w demokratycznych państwach – stać na straży przestrzegania prawa przez wszystkich, w tym władzę, służyły ochronie organów państwa, czyli władzy, przed obywatelami) – mogła przewencyjnie powstrzymać każdą publikację: informację, artykuł, program radiowy i telewizyjny, film, książkę. Choć zdarzały się okresy popuszczania cugli, np. w czasie popaździernikowej odwilży w 1956 r., w okresie pierwszej Solidarności oraz pod koniec PRL, wolność słowa nie istniała. Jej namiastkę mieli Polacy jedynie – w ściganym i karanym przez władzę – nielegalnym („drugim”) obiegu.

Ustawa o cenzurze została uchylona 11 kwietnia 1990 r. Ćwierć wieku później, w piątą rocznicę katastrofy pod Smoleńskiem, ludzie gromadzący się co miesiąc na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, wraz z ówczesnym kandydatem na prezydenta Polski, a obecnie – głową państwa Rzeczypospolitej, śpiewali: *Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie*. Za tym dramatycznym zawołaniem kryła się również modlitwa-prośba o *prawdziwą wolność słowa i wolne media*, których to instytucji – w opinii zgromadzonych – Polska nie zdołała się przez 25 lat dorobić.

Czym zatem są owe upragnione „wolne media”, jakie są warunki ich funkcjonowania i jaką rolę powinny pełnić w demokratycznym państwie prawa?

Bez zgody władzy

Joachim Holtz, korespondent ZDF, drugiego programu niemieckiej telewizji publicznej, w latach 80. XX w. nadawał z komunistycznego Berlina i sowieckiej Moskwy, potem z USA, a pod koniec lat 90. wyjechał do Pekinu. I przeżył *déjà vu*. Kraj, którego gospodarka rosła w ostatnim dwudziestoleciu najszybciej na świecie, który zalewa Ziemię coraz bardziej zaawansowanymi technicznie produktami, w którym jest najwięcej na globie milionerów i internautów, do wolności słowa podchodzi równie ostrożnie, jak niegdyś PRL, NRD czy ZSRS. Przepisy regulujące działalność mediów do złudzenia przypominają peerelowską ustawę o cenzurze.

Kluczowy zapis zabrania publikowania informacji tajnych. Żaden dziennikarz nie wie jednak, która informacja jest lub może być tajna, ponieważ dane z tym związane są – a jakże – tajne. Dla „wygody i bezpieczeństwa dziennikarzy” władza deleguje więc do każdej redakcji urzędnika, który „wspiera” ludzi mediów przy zbieraniu i przetwarzaniu informacji. Poczynione nieopatrznie nagrania tajnych rozmów i zdarzeń są konfiskowane i kasowane. Ujawniające tajemnice artykuły czy filmy nigdy nie wypłyną na światło dzienne – chyba że w demokratycznym świecie i jego wolnym informacyjnym obiegu, do którego – mimo globalizacji nowych mediów (internetowych, satelitarnych) – przeciętny Chińczyk nie ma dostępu.

Trzeba mieć świadomość, że podobne zasady i przepisy o cenzurze obowiązują w większości krajów świata. Jedyne w niewielkiej części globu funkcjonuje demokracja w stylu Unii Europejskiej i Ameryki Północnej – i rozumiana na tę modłę wolność polityczna oraz wolność słowa i mediów. Równocześnie przybysze z krajów uznawanych przez nas za niedemokratyczne, autorytarne, zniewolone – osiedlają się coraz częściej w krajach szeroko pojętej cywilizacji zachodniej i... korzystają z jej wolności. Także wolności słowa. Budują własne media – i własny przekaz. Często antyzachodni, antyliberalny i antydemokratyczny.

Jest to coraz częściej źródłem paradoksów, napięć i zagrożeń.

Zgodnie z dominującą w Europie kontynentalnej koncepcją państwa prawa oraz bliźniaczą anglosaską ideą rządów prawa – prawo ma pozycję nadrzędną w systemie politycznym, wiąże na równi obywateli i rządzących, wyznacza zakres kompetencji

władzy, gwarantuje obywatelom liczne prawa i wolności. Mówiąc najprościej: państwowe (publiczne) organy i instytucje mogą działać jedynie w zakresie określonym przez prawo, natomiast obywatele mogą czynić wszystko, czego prawo nie zabrania.

Prof. Andrzej Zoll wspominał podczas jednej z debat Oświęcimskiego Forum Praw Człowieka, że bodaj najtrudniejszym a zarazem najpilniejszym zadaniem na początku polskich przemian lat 90. XX w. było całkowite przeformowanie mentalności i świadomości naszych sędziów sądów powszechnych. Dotąd mieli oni zakodowane w głowach, że jako funkcjonariusze publiczni, w sporach obywateli z władzą, mają bronić władzy i jej organów. Teraz musieli sobie wbić do głów, że w tego typu sporach mają bronić przestrzegania prawa. Jeśli rację ma obywatel, to trzeba mu ją przyznać. Nawet przeciw władzy.

Wyzwoleni z cenzury musieliśmy się na nowo nauczyć wytyczać granice wolności słowa. W demokratycznym państwie prawa droga do wolności każdej ludzkiej wspólnoty wiedzie w praktyce przez ograniczanie wolności tworzących ją jednostek. Ograniczenia te mają służyć zarówno wspólnemu, jak i indywidualnemu dobru. Pytanie o granice wolności i sposób ich wprowadzania (demokratyczne głosowanie czy przyjęcie prawd objawionych) jest w istocie pytaniem o najbardziej pożądaną z punktu widzenia dobra człowieka organizację społeczeństwa, narodu, państwa.

Jak zdefiniować wolność – i jej granice – w społeczeństwach zachodnich opartych na idei państwa prawa, które przyjęły znaczącą liczbę imigrantów i uchodźców z innych kultur i cywilizacji opartych na innych koncepcjach państwa? Co robić, gdy próbujemy „wyzwalać” ludzi w naszej opinii zniewolonych, np. przez ortodoksyjną religię czy ideologię, a oni stanowczo protestują, widząc w naszych działaniach gwałt dokonany na swej wolności? Gdzie ustawić granice wolności słowa, którą w liberalnej demokracji każdy może pojmować po swojemu? – pytania ze wstępu do niniejszego tomu były leitmotivem II OFPC, a równocześnie towarzyszą nam na każdym etapie i zakręcie polskiej demokracji.

Odpowiedzi próbujemy często szukać w demokracjach dojrzałszych i bardziej ugruntowanych.

Fundamentem demokracji amerykańskiej jest pierwsza poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, zakazująca ograniczania wolności religii, prasy, słowa, petycji i zgromadzeń, a uchwalona w ramach Karty Praw Stanów Zjednoczonych Ameryki. Głosi ona, że: *Kongres nie ustanowi ustaw wprowadzających religię lub zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych; ani ustaw ograniczających wolność słowa lub prasy, lub naruszających prawo do pokojowych zgromadzeń i wnoszenia do rządu petycji o naprawę krzywd.* Zgodnie z nią, nie istnieją w USA przepisy, które chroniłyby obywateli bądź przybyszy przed narażeniem na kontakt z argumentami, wiarą czy ideologią, z którą się nie zgadzają.

Pierwsza poprawka, która weszła w życie 15 grudnia 1791 r., rodziła się w bólach. Symbolem walki o wolność słowa i mediów pozostaje do dziś to, co przytrafiło się

u schyłku XVII w. bostońskiej gazecie „Public Occurrences. Both Foreign and Domestic”. Ukazywały się w niej pierwsze na świecie materiały śledcze, m.in. o torturowaniu jeńców francuskich w brytyjskich więzieniach. Gazeta została zamknięta przez gubernatora stanu Massachusetts, Simona Bradstreeta, bo *bez zezwolenia władzy opisywała fakty nieprawdziwe*.

Otóż w większości państw globu zamyka się dziś redakcje (prasy, radia, telewizji oraz internetowe portale) z tego samego powodu. Ba, w Polsce XXI w., demokratycznym państwie prawa, nie brakuje pogrobowców gubernatora Bradstreeta, próbujących kontrolować media, cenzurować publikowane treści i karać dziennikarzy, którzy „przesadzają w krytyce władzy”. Z drugiej strony ludzie odmawiający innym („mniejszościom”, „wrogom”, „heretykom”, „zboczeńcom”, „zdrajcom”, „nieprawdziwym Polakom”) głoszenia swych poglądów a nawet publikowania informacji, domagają się dla siebie absolutnej wolności w głoszeniu własnych opinii i upublicznianiu „swoich” faktów.

Pytanie o granice wolności słowa w mediach nie znalazło i chyba nie znajdzie jednoznacznej i ostatecznej odpowiedzi. Próby ustanawiania owych granic w oparciu o uniwersalne wartości i prawa człowieka napotykają co chwila na kontrofensywę ze strony tych, którzy owe wartości i prawa podważają. Zakaz głoszenia treści rasistowskich i szerzenia nienawiści na tle religijnym kontra „śmiertelne zagrożenie dla chrześcijańskiej cywilizacji europejskiej”. Zakaz propagowania faszyzmu kontra „raz sierpem raz młotem czerwoną hołotę”. „Emancypacja kobiet” kontra „ochrona życia poczętego”. Zakaz homofobii kontra „zakaz pedałowania”. Przyzwoici ludzie powiedzą, że... przyzwoity człowiek wie, co jest przyzwoite.

Sęk w tym, że katalog rzeczy uznawanych za etyczne, moralne, z upływem lat się zmienia. Poszerza się przy tym katalog praw człowieka oraz innych praw i wolności – wyznawanych przez zachodnią cywilizację, a niekoniecznie podzielanych przez inne kultury.

Równocześnie dynamicznie zmieniają się media: rewolucja technologiczna i związana z nią globalizacja (w tym błyskawiczny obieg informacji oraz niebywałe nagromadzenie różnych, często wzajemnie sprzecznych, opinii) osłabiły rolę tradycyjnej prasy, radia, telewizji, które dotąd kontrolowały publiczny przekaz. Ów przekaz przesunął się wyraźnie do Internetu, a właściwie na dobre (a przynajmniej na bliżej nieodgadniony czas) w nim zamieszkał.

Hasło – „Kto kontroluje media, ten ma władzę” – prowokuje do stawiania pytań o to, kto kontroluje Internet, ową rzekomą oazę wolności słowa. Kto to robi w Polsce, a kto w skali globu? Jak ustala zasady? I jakie to niesie konsekwencje?

Coraz trudniej ustalić, co się pojawia w Internecie „bez zgody władzy”, a co z jej inspiracji. A to tylko część problemów, przed jakimi stoją dzisiejsze media – i ich odbiorcy.

Czwarta władza, która traci władzę

Art. 54 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 1997 r. mówi, że każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania

informacji, oraz że cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu i koncesjonowanie prasy są zakazane. Koncesjom podlegają jedynie radio i TV – wynika to ograniczonego zakresu dostępnych częstotliwości.

Funkcjonowanie dziennikarzy tradycyjnych mediów reguluje – odwołujące się do Konstytucji – prawo prasowe, zgodnie z którym prasa korzysta z wolności wypowiedzi i urzeczywistnia prawo obywateli do rzetelnego informowania, jawności życia publicznego, kontroli i krytyki społecznej.

Na papierze wszystko wygląda więc nieźle i tworzy prawne fundamenty pod budowę i funkcjonowanie czwartej władzy, czyli wolnych mediów będących nieodłączną częścią demokratycznego ładu. Owa czwarta władza – stawiana w jednym szeregu z władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą – odgrywa ogromną rolę w informowaniu społeczeństwa, kształtowaniu opinii publicznej oraz uprawianiu polityki. Szczególnie ważna jest jej funkcja kontrolna w stosunku dla pozostałych władz: media mają czuwać, by nie dochodziło do patologii, nadużyć, korupcji. W rozwiniętych demokracjach wielokrotnie się w tej roli sprawdziły. Ich wolność nie jest jednak nieograniczona. Jej granice wyznaczają zasady i przepisy państwa prawa.

Obok gwarancji prawnych i systemowych (sprawne sądy), warunkiem istnienia wolnych mediów jest ich niezależność od ośrodków władzy (politycznej i ekonomicznej) oraz posiadanie odpowiednich środków (pieniędzy, sprzętu). Niezwykle istotną przesłanką jest również to, w jakiej przestrzeni społecznej funkcjonują dane media: czy jest to społeczeństwo obywatelskie, zainteresowane dobrem wspólnym, sprawami publicznymi, polityką, funkcjonowaniem lokalnej społeczności, regionu i państwa, o wysokim poziomie czytelnictwa gazet (portali społeczno-politycznych) oraz znacznej oglądalności programów informacyjnych i publicystycznych; czy może jest to społeczeństwo bierne i mało zainteresowane szeroko pojętą polityką. Mamy przy tym do czynienia ze sprzężeniem zwrotnym: media mogą kreować polityczną bierność a zarazem (w przypadku tzw. mediów opiniotwórczych) padać ofiarą tej bierności.

W Polsce mamy do czynienia ze społeczeństwem mocno indywidualistycznym, mało obywatelskim. Cechuje je brak zainteresowania dobrem wspólnym, bierność (aktywnych społecznie jest tylko 13% obywateli), jedynie połowa dorosłych Polaków uczestniczy w wyborach powszechnych, codzienne zainteresowanie polityką deklaruje kilkanaście procent, dramatycznie niskie jest czytelnictwo gazet (Czesi i Słowacy wyprzedzają nas o kilka długości; o Brytyjczykach i Niemcach lepiej nawet nie wspominać).

To główny powód słabości polskich mediów: z jednej strony podkopuje pozycję dziennikarzy wobec władzy (która czuje się silniejsza, gdy wie, że za daną redakcją nie stoi rząd dusz: czytelników, widzów, słuchaczy – wyborców), z drugiej – uderza w finanse mediów.

W polskiej prasie nigdy nie było dużych pieniędzy. Po upadku PRL redakcje zaczęły zarabianie na sobie właściwie od zera. Niektóre robiły to lepiej, inne gorzej,

większych inwestorów można zliczyć na palcach jednej ręki (poczynione przez nich inwestycje były zresztą bardzo skromne), a względna *hossa* (możliwość zarabiania na prasie) trwała właściwie tylko do końca XX w., czyli przez dekadę. Potem – wraz z rewolucją technologiczną i niepowstrzymanym do dzisiaj spadkiem nakładów i przychodów z reklam – zaczął się finansowy zjazd w dół. Efektem były (i nadal są) cięcia kosztów, masowe zwolnienia. W żadnej branży nie doszło w ostatnich latach do tak drastycznego ograniczenia liczby etatów jak w mediach papierowych.

Ma to fundamentalne znaczenie dla wolności słowa – i realnej siły czwartej władzy. Poza prasą prawie nikt nie tworzył nigdy i nadal nie tworzy wartościowych treści społeczno-politycznych, nie podejmuje tematów a tym bardziej dziennikarskich śledztw (wyjątkiem są telewizyjne programy publicystyczno-interwencyjne, które też można zliczyć na palcach jednej ręki; niejednokrotnie zajmują się one sprawami opisanymi wcześniej przez prasę). Większość mediów elektronicznych od ćwierćwiecza ogranicza się do roli odtwórców, przetwórców i przekazników tego, co zauważą, wytropią, opiszą papierowe dzienniki i tygodniki. Widać to wyraźnie w telewizyjnych serwisach informacyjnych oraz w popularnych internetowych portalach.

Jeśli śledztwa dziennikarskiego nie podejmie dziennikarz prasowy – to raczej nie podejmie go nikt. A właśnie prasa najsilniej odczuła skutki finansowej zapaści: wydawcy większości mediów regionalnych zwalniali dziennikarzy, a resztę przykuli do biurka, inicjując erę „pracy na telefon”. Kontrolowanie władzy w ten sposób, o prowadzeniu dziennikarskich śledztw nie wspominając, stało się problematyczne, jeśli nie niemożliwe. Dziennikarze śledczy, jako „najmniej efektywni” (zbierają informacje miesiącami, by napisać jeden tekst) jako pierwsi padli ofiarą redukcji w wielu redakcjach albo musieli się przebranżowić – na reporterów piszących jak inni, dużo i o wszystkim.

Wydawca musi patrzeć daleko w przyszłość i mieć choć trochę poczucia misji (oraz szacunku do samego siebie), by chcieć finansować działalność krytyczną, a co dopiero – demaskatorską. Warunek drugi: musi mieć na to pieniądze. A z tym w ostatnich latach, zwłaszcza po nastaniu kryzysu w 2008 r., było i jest w polskiej prasie dramatycznie źle. Doprowadziło to do obniżenia jakości informacji i publicystyki, totalnego uwiądnienia dziennikarstwa śledczego – a więc i osłabienia kontrolnej funkcji czwartej władzy.

Niestety, zachodzi tu klasyczne sprzężenie zwrotne: jakiego odbiorcę sobie wychowasz, takiego będziesz miał. Ludzie przyzwyczajeni do codziennej papki będą żądać... więcej papki. Zamiast budować społeczeństwo obywatelskie, media uczestniczą w tworzeniu społeczeństwa ogłupionych reklamami i lokowaniem produktów indywidualnych konsumentów.

Skutki są druzgocące dla demokracji, która nigdy nie była u nas zbyt silna. Mamy do czynienia raczej z jej fasadą, w Polsce lokalnej jest to widoczne aż nadto. Jedną z głównych przyczyn jest brak silnej niezależnej prasy lokalnej zatrudniającej dziennikarzy śledczych do tropienia nadużyć władzy i – jak najbardziej realnych – układów.

Poważnym problemem jest brak rodzimego kapitału, który chciałby inwestować w media zainteresowane i budzące zainteresowanie szeroko pojętą polityką i życiem publicznym. Z biznesowego punktu widzenia taka inwestycja przestała się opłacać, przynajmniej w przypadku mediów tradycyjnych (prasa, radio, TV), osłabionych przez technologiczną rewolucję. W przypadku Internetu – nie opłaca się... jeszcze.

Dziennikarz lokalny: samotny jeździec

Wprawdzie na tropieniu i ujawnianiu afer gazety budują swą markę i sławę, zdobywają nagrody, podbijają nakład, ale jednocześnie narażają się części elit, wpływowym grupom, w tym – potencjalnym reklamodawcom. Wielu wydawców zakłada więc z góry, że nie warto.

Najtrudniej mają dziennikarze w małych miasteczkach. Media lokalne zostały zdominowane przez urzędowe biuletyny – które często udają prasę, ale prasą nigdy nie były i nie są. W mniejszym lub większym (przeważnie większym) stopniu pełnią one rolę tuby władzy, „bezpłatnej” reklamy działalności włodarzy. Finansowanej przez zobojętniałych podatników.

Stowarzyszenie Prasy Lokalnej wielokrotnie zwracało uwagę, że urzędowe pseudogazety (najczęściej darmowe tygodniki) nie tylko podszywają się pod normalne media, ale i są śmiertelnym zagrożeniem dla prasy niezależnej: dzięki dotacjom z urzędów oraz reklamom gminnych czy powiatowych spółek (zamieszczanie reklam w urzędowych pismach uchodzi wśród szefów samorządowych firm i instytucji podległych wójtom i burmistrzom – za oczywiste) oferują one często potencjalnym prywatnym reklamodawcom i ogłoszeniodawcom powierzchnię reklamową w (bez)konkurencyjnych cenach. Dysponują też zazwyczaj nieporównywalnie większą niż pisma prywatne siłą rażenia – dostarczane są przeważnie do wszystkich domów w danej gminie.

Słabość lokalnych mediów, które ewentualnie mogłyby kontrolować miejscową władzę, jest więc pochodną ogólnej słabości polskiej demokracji: niskiego zainteresowania obywateli sprawami publicznymi, ich śladowego zaangażowania w działalność niezależnych od władzy organizacji społecznych i znikomego czytelnictwa prasy (zarówno drukowanej, jak i elektronicznej). Słabość ta jest tym bardziej odczuwalna, że – oprócz władz i podległych jej instytucji – w większości gmin i powiatów (dotyczy to zwłaszcza tzw. Polski B) nie istnieją podmioty, które byłyby w stanie sfinansować lokalne media i jednocześnie widziały w tym jakiś interes.

Samorządy są w wielu miejscach największymi pracodawcami, operującymi największymi środkami, a zarazem tworzą prawo lokalne, w tym konkretne warunki funkcjonowania biznesu, więc na ogromnej połaci kraju dominuje przekonanie, że lepiej się z władzą ułożyć.

Grzeczne pismo wydawane przez prywatnego wydawcę może liczyć na reklamy gminnych spółek i ogłoszenia samorządowych instytucji, niegrzeczne nigdy ich nie dostanie, a jeszcze urzędnicy mogą na dobre zatruć życie przedsiębiorcy – wydawcy.

W wielu polskich miejscowościach stosunki między władzą a społeczeństwem (w tym dziennikarzami) są mniej więcej takie, jak w stanie Massachusetts zarządzanym przez gubernatora Bradstreeta u schyłku XVII w. Polscy wójtowie i burmistrzowie nagminnie oburzają się, że „jakiś pismak bez zezwolenia władzy opisuje fakty nieprawdziwe”. Za publiczne pieniądze wytaczają dziennikarzom procesy – cywilne i karne (z niesławnego art. 212).

Z wymienionych tu powodów gazet lokalnych, o w miarę stabilnej pozycji i sile finansowej wystarczającej, by – jeśli zajdzie taka potrzeba – móc iść na wojnę z władzą, jest w Polsce zaledwie kilkanaście.

W Małopolsce głośno było o szykanowaniu a następnie zwolnieniu z urzędu wieloletniej skarbniczki miasta, której syn – w oparciu o żmudne dziennikarskie śledztwo – opisał liczne nadużycia prezydenta. Kobieta straciła zdrowie i nigdy już nie wróciła do pracy. Po kilkuletnim procesie uzyskała 30 tys. zł odszkodowania za mobbing – zapłacili je podatnicy. Włodarz pozostał bezkarny, a nawet – mimo przegranego z dziennikarzem i gazetą procesu (sąd uznał prawomocnie, że wszystkie publikacje były zgodne z prawdą) – wygrał kolejne wybory. Posłużyły mu do tego m.in. wydawane lub wspierane ogłoszeniami przez urząd lokalne „gazety”, które w gigantycznym nakładzie pisały kłamstwa i szkalowały wrednego dziennikarza i gazetę.

Trzeba to zaznaczyć, że dziennikarz wygrał proces, bo stało za nim silne regionalne medium o wieloletniej tradycji. Wydawca udzielił reporterowi wszelkiego wsparcia – przede wszystkim opłacił dobrego prawnika.

Podobnymi możliwościami dysponuje w Polsce tylko kilka gazet ogólnopolskich (które niezwykle rzadko operują w Polsce lokalnej, a śledztw dziennikarskich nie prowadziły tu i nie prowadzą prawie wcale), kilka tygodników oraz kilkadziesiąt tytułów regionalnych należących do grupy Polska Press. Na wojny z władzą decydują się też czasem wspomniane (nieliczne) tytuły lokalne, które wyrosły na miejscowych potentatów medialnych, jak chrzanowski „Przełom” i „Tygodnik Podhalański”.

Od krytycznych publikacji i mozolnych śledztw dziennikarskich odstrasza zatem polskich dziennikarzy nie tylko wysokie koszty, ale i potencjalne bolesne konsekwencje prawne. Bolesnie nierychliwe sądy dość często przyjmują linię władzy (reprezentowanej przez elitę palestry), wydając niejednokrotnie kuriozalne wyroki (i to w obu instancjach), zarówno w procesach cywilnych, jak i karnych (art. 212 kk nie ma odpowiednika w innych krajach Unii Europejskiej). Część druzgocących dla Polski orzeczeń Trybunału w Strasburgu dotyczy właśnie tej kwestii. Orzeczenia te zapadają jednak dopiero po wielu latach, co potęguje wrażenie, że – nie warto krytykować władzy.

Tabloidyżacja i infotainment

W ramach swej funkcji kontrolnej czwarta władza ma ujawniać nieprawidłowości systemu społecznego i politycznego, afery, korupcję, malwersacje, nadużycia. Tak rozumiejący swą misję dziennikarze zwracają uwagę na aspekt społeczny i etyczny:

chodzi o ujawnienie, napiętnowanie i ukaranie osób naruszających prawo i normy moralne, zmianę patologicznych przepisów lub zachowań władzy oraz naprawienie w ten sposób szwankującej demokracji.

Dziennikarz, zwłaszcza reporter śledczy, w jakimś stopniu uzupełnia tu pracę organów ścigania, zajmując się sprawami, które powinny być przedmiotem ich śledztw i dochodzeń (a z jakichś powodów nie są). Czasem wręcz wykonuje zadania za te organy. Zanim cokolwiek opublikuje, musi – niczym prokurator w akcie oskarżenia – zebrać i zweryfikować dowody winy; musi być przy tym pewny, że ujawnienie tych dowodów będzie miało duże znaczenie dla opinii publicznej.

Wszystko to jest bardzo szlachetne i brzmi pięknie, ale wymaga znakomitego warsztatu, wysiłku – i kosztuje. A koszty są czymś, od czego wydawcy tradycyjnych mediów próbują uciec. Obok słabości społeczeństwa obywatelskiego jest to kolejny ważny powód kryzysu polskich mediów opiniotwórczych i ich zdominowania przez tabloidy.

Sens i cel działania mediów bulwarowych jest zupełnie inny niż w przypadku prasy opiniotwórczej: chodzi o sprzedanie jak największego nakładu – i ten cel uświęca środki. Najprostszą metodą jest wywołanie i sprzedawanie kolejnych sensacji. Serwowanie przemocy i pornografii pod hasłem walki o moralność to w tabloidach norma. Ferowanie na czołówkach wyroków, wskazywanie winnych bez sądowych orzeczeń – uchodzi wręcz za obowiązek bulwarowych dziennikarzy.

Czytelników tabloidów jest na świecie średnio dwa razy więcej niż czytelników prasy opiniotwórczej – i ich dominacja się zwiększa. W Polsce jest to zjawisko szczególnie silne: w dobie finansowej zapaści i spadku nakładów wydawcy prasy opiniotwórczej uznali, że muszą ubrać poważne treści w lżejszą formę, z czasem tabloidyzacji uległy również treści poważnych gazet, którym nieobce są dziś słowa-klucze: *szok* i *zaskakujący*. W efekcie zamiast eksperckich debat „na temat” i uczciwych analiz skomplikowanych zagadnień, zdarzeń i sytuacji, w prasie dominują czarno-białe opisy i kolorowe fotografie, prezentujące dany temat w konwencji raportów wojennych. Nie liczy się rozstrzygnięcie, kto ma w danym sporze rację, tylko temperatura sporu. Najlepiej bardzo wysoka (gdy jest inaczej, trzeba ją podgrzać).

Infotainment zaczął królować nawet w mediach publicznych. „Dostosowanie do masowego odbiorcy” to jeden z powodów. Drugim jest udział mediów publicznych w komercyjnej wojnie o oglądalność i reklamodawców; władze TVP tłumaczyły to przez lata dramatycznym spadkiem wpływów z abonamentu.

Czy jest szansa na zmianę tej sytuacji? Nie – dopóki kolejne ekipy przejmujące władzę w kraju będą uważać media publiczne za istotną część wyborczego łupu. Trudno wiązać jakiegokolwiek nadzieje na podjęcie przez publiczne media misji informowania i kształtowania społeczeństwa obywatelskiego w sytuacji, gdy media te mają być „rewolucjonizowane” przez otwartych zwolenników rządzącej akurat linii politycznej, a już zupełnie kuriozalnie brzmią zapowiedzi „uzdrowienia radia i telewizji” przez osoby przedstawiające się (i przedstawiane) jako „szwadrony nowej władzy”.

Szwadron stać co najwyżej na ślepią propagandę – i to w najgorszym, znanym z dziejów, wydaniu. Z wolnością słowa i „Ojczyzną wolną” nie ma to nic wspólnego.

Najlepsze dla wątłej polskiej demokracji byłoby czerpanie przez media publiczne wzorców z Zachodu – Niemiec lub Wielkiej Brytanii. Powszechny abonament, uniezależnienie od reklam i presji oglądalności, odejście od infotainmentu, mozolne budowanie nowego, zainteresowanego Polską i światem odbiorcy... To jedyna sensowna droga.

Wampiryzm globalnych korporacji

Trzeba przy tym pamiętać, że dla młodszego pokolenia tradycyjne media – prasa papierowa, radio i telewizja – przestały być głównym, a nawet jakimkolwiek źródłem informacji. Na pierwsze miejsce wysunęły się nowe media, portale i (zwłaszcza) serwisy społecznościowe, jak Facebook, Twitter, Google+.

Sęk w tym, że owe nowe media same z siebie nie wytwarzają niemal żadnych treści, a jedynie bezkarnie i bezpłatnie żerują na treściach wytworzonych przez inne media, głównie dziennikarzy tradycyjnych redakcji. Zarazem przejmując, przekierowując i niekiedy przetwarzając strumień informacji – przejmują większość finansowych wpływów z tytułu wytworzenia publikacji; natomiast koszty pozostawiają po stronie tradycyjnych mediów i zatrudnianych przez nich profesjonalnych dziennikarzy.

Jednym z mitów założycielskich mediów społecznościowych jest opowieść o milionach prawdziwie niezależnych, rozrzuconych po całym globie, wytwórcach i dostawcach informacji, robiących zdjęcia i kręcących filmy smartfonami, piszących błyskawicznie, co się u nich dzieje. Amatorsko i społecznie, bez żadnego wynagrodzenia. Mieli oni z czasem zastąpić profesjonalnych dziennikarzy, redaktorów, edytorów – i pogrzebać stare media. Informacje od amatorów miały być agregowane przez automaty i ślone w świat przy pomocy globalnej sieci.

W praktyce okazuje się, że owi amatorscy dostawcy potrafią wytworzyć co najwyżej furę śmieci – w której z rzadka pojawiają się informacje ważne dla funkcjonowania i rozwoju demokracji, kontroli organów władzy itp. Nawet tak ważne z tego punktu widzenia źródła informacji, jak Edward Snowden czy Hervé Falciani (od którego zaczęła się SwissLeaks, afera z ukrywaniem dochodów w rajach podatkowych przez bogaczy i znane osobistości z wielu krajów) byłyby dla opinii publicznej niewiele warte – a może nawet nigdy zostałyby upublicznione – bez wsparcia profesjonalnych dziennikarzy tradycyjnych mediów, jak „Guardian”, „Daily Telegraph”, BBC, CBS.

Nad danymi wykradzionymi na przenośnej pamięci przez byłego informatyka banku HSBC pracowało w tajemnicy ponad 130 reporterów i publicystów z Międzynarodowego Stowarzyszenia Dziennikarzy Śledczych – ICIJ. Ślęczyli nad tym w Paryżu, Waszyngtonie, Genewie i 46 innych krajach. Ich śledztwo dotyczyło ponad 180 mld euro ulokowanych na kontach 100 tys. klientów i 20 tys. firm offshorowych.

O ile prosta informacja, typu „zjadłem dziś na śniadanie owsiankę według przepisu Ani Lewandowskiej” lub „drzewo zważyło się na samochód pod blokiem przy ul. Par-

tyzantów” nie wymaga warsztatu, ani kunsztu pisarskiego (prawdopodobnie w ciągu kilku najbliższych lat podobne wieści będą „tworzyć” komputery, tak jak robią to już dziś w przypadku notowań giełdowych), o tyle materiały wysoko przetworzone, oparte na żmudnym ustalaniu faktów, szukaniu i sprawdzaniu tropów, rozmawianiu z potencjalnymi źródłami informacji, wyciąganiu wniosków, profesjonalnej analizie zbiorów danych – nie mogą powstać bez udziału wykwalifikowanego dziennikarza.

To dziennikarz ustala fakty, konfrontuje je z dokumentami i dostępną wiedzą, nadaje publikacji przyswajalną dla społeczeństwa formę. To on objaśnia, co jest w lawinie informacji (sam Falciani przekazał 80 GB danych!) ważne, jak to się ma do przepisów i obowiązków władzy, kto zyskał, kto stracił i kto powinien ponieść konsekwencje. Pozyskuje przy tym i prezentuje komentarze i opinie ekspertów.

Jako się rzekło, dziennikarz ten powinien być nie tylko odpowiednio wykształcony i operatywny, ale i niezależny od ośrodków władzy (politycznej i ekonomicznej), a jednocześnie musi posiadać środki (pieniądze, sprzęt), bo bez tego zwyczajnie nie da się uprawiać dziennikarstwa. To absolutnie podstawowe warunki dla wolności słowa. Bez nich – staje się ona iluzoryczna.

Tymczasem w erze Google’a i Facebooka ekonomiczne, a zapewne także polityczne fundamenty dziennikarskiego fachu zostały mocno podkopane. Jak wspomniałem wcześniej, prasa drukowana zwolniła w skali globalnej ponad połowę reporterów i redaktorów, a ofiarą największych cięć padło dziennikarstwo śledcze; nie tylko dlatego że rodzi największe koszty, ale i z tego powodu, że jest najbardziej niewygodne dla władzy – a więc i ryzykowne dla redakcji, których ekonomiczny byt stanął pod znakiem zapytania.

Niemal wszyscy odbiorcy informacji ulegli przy tym złudzeniu, że dobra i wiarygodna informacja może być za darmo. Nawet reportaż chcą mieć za darmo. I materiał śledczy.

Jednocześnie mówi się, że najcenniejsza w świecie (także w biznesie) jest informacja. A skoro tak, i skoro rzetelna informacja jest podstawą demokracji, to jej wytwórcy nie mogą być sprowadzeni do roli pariasów tworzących za darmo. Czwarta władza nie może istnieć bez profesjonalnych dziennikarzy. Demokracja nie może istnieć bez czwartej władzy.

Media przybiorą zapewne nową formę – Internet na dobre dołączył już do „starych” dostawców treści: prasy, radia, telewizji. Na razie różni się jednak od nich tym, że – pogrążając finansowo i osłabiając pozycję starych redakcji, nie tworzy nowych. Zamiast tego potężne globalne korporacje wyrosłe w sieci zbijają fortunę, głosząc nieprawdę: że informacja może być darmowa. Źródłem ich fortuny jest... informacja, którą wytworzył ktoś inny.

Dopóki internetowe „wampiry” wysysające setki miliardów dolarów z prawdziwych twórców informacji nie podzielą się zyskami z tymi ostatnimi i nie zaczną im solidnie płacić, dziennikarstwo, rozumiane jako strażnik i filar demokratycznego ładu, będzie się pogrążać w kryzysie.

Główny problem polega na tym, że potężnym międzynarodowym korporacjom, które zgromadziły wiedzę o obywatelach i ich przywódcach wystarczającą – po przetworzeniu – do wygrywania wyborów i rządzenia państwami a nawet całym światem – może nie zależeć na odrodzeniu i umacnianiu czwartej władzy. Wystarczy im jedna.

Nakładają się na to coraz bardziej populistyczne i autorytarne tendencje w zachodnim świecie. W chaosie płynnej ponowoczesności, kiedy biedni zaczynają oszczędzać bogatych, przenikając masowo do ich poukładanego dotąd świata dobrobytu, przytłoczeni ogromem informacji i bodźców obywatele Zachodu gotowi są poświęcić wolność – w imię świętego spokoju, bezpieczeństwa. Dotyczy to także wolności słowa i wolności mediów, która w wyniku opisanych tu zdarzeń i okoliczności, staje się coraz bardziej iluzoryczna.

Towarzyszy temu odwieczny konflikt między tymi, którzy chcieliby, by poszanowanie obywatelskich wolności, w tym wolności słowa, nie miało żadnych granic i tymi, którzy np. w imię przestrzegania tzw. wyższych wartości, zaleceń i dogmatów religijnych, ale też – bezpieczeństwa – pragną poszerzać zakres kontroli, a więc ograniczać wolność. Ten spór toczy się nie tylko w krajach – z naszego punktu widzenia – autorytarnych, ale także w rozwiniętej demokracji, w Europie Zachodniej i USA. Także w Polsce. Weźmy choćby coraz intensywniejszą inwigilację obywateli ze strony służb wywiadowczych jak NSA: podsłuchy, billingi, śledzenie treści na portalach społecznościowych, wszechobecne kamery czy totalne kontrole na lotniskach. Na zagrożenia z tego tytułu zwraca uwagę m.in. bardzo aktywna w naszym kraju Fundacja Panoptykon.

Czy możliwy jest zatem tylko jeden scenariusz – fatalny dla czwartej władzy, zwolenników liberalnej demokracji, państwa (rządów) prawa, monteskiuszowskiego podziału władz? Czy na naszych oczach ziszcza się wizja George'a Orwella?

Niekoniecznie. Po pierwsze coraz większa grupa odbiorców zaczyna rozumieć, że darmowy Internet to w dużej mierze wielki śmietnik i coraz trudniej tam o wartościowe i wiarygodne informacje. Informacji takich nie dostarcza również infotainmentowy format dzienników telewizyjnych. Do wielu ludzi – nazwijmy ich nową elitą społeczeństwa – dociera, że za wartościową informację, a zwłaszcza za głębsze analizy i bardziej przetworzone formy, jak reportaż, artykuł śledczy – trzeba zapłacić. Dzięki płatnym treściom za jakiś czas media mogą odbudować swą finansową pozycję. Będą to z pewnością zupełnie nowe, multimedialne, treści, ale cel ich tworzenia oraz społeczna funkcja pozostaną takie same jak dawniej: charakterystyczne dla czwartej władzy.

Paradoksalnie sprzyjać temu będą... nowe technologie. Na razie globalne korporacje internetowe zarabiają dzięki nim miliardy i zyskały (chwilową?) przewagę w globalnej wiosce. Ale pewna grupa obywateli nigdy nie chciała i nie zechce żyć w orwellowskim roku 1984. Będą szukać narzędzi kontroli władzy, próbując przekształcić w takie narzędzie właśnie nowe media.

Za jaskółkę tych przemian może uchodzić Lisbeth Salander z trylogii „Millenium” Stiega Larssona: genialna hakerka, potrafiąca się włamać do dowolnego urządzenia wpiętego do globalnej sieci. A zarazem wrażliwa obywatelka niepokojona z gnijącym systemem, z hipokryzją władzy i zblatowanego z nią biznesu, z zastanymi układami – pełnymi patologii, z urzędnikami brutalnie nadużywającymi swej pozycji.

Powie ktoś, że to tylko książka nieżyjącego lewicowego idealisty. Ale ludzie bliźniaczo podobni do bohaterki Larssona już istnieją – i zaczynają się zgłaszać do dziennikarzy. Jak Snowden do „Guardiana” oraz informator(ka) francuskiej skarbówki do „Le Monde” i ICIJ.

Kolejne takie zdarzenia przywracają mediom funkcję czwartej władzy. Mimo wielu zagrożeń, dziennikarzom w rozwiniętych demokracjach zachodnich sztuka ta może się w najbliższych latach udać.

Przed polskimi dziennikarzami o wiele dłuższa i trudniejsza droga do celu.